

◆jutrzenka◆

dodatek tygodniowy „expressu zagłębia“ dla dzieci i młodzieży

Rok IV. Sosnowiec, niedziela 11 grudnia 1938 r. Nr. 23



W JAPOŃSKIEJ SZKOLE.

Reprodukcujemy charakterystyczne z
djęcie, przedstawiające początkową naukę
działwy japońskiej.



Czy Marek będzie miał katarek?

Czy wiecie, co to znaczy znaleźć się na pokładzie statku z pełnym plecakiem, kiedy w kieszeni od bluzy tkwi kalendaryk, w którym wczoraj wieczorem wykraśliło się ostatni dzień dzielący od wycieczki?!

Jedziemy!

Już za chwilę ruszymy do Kazimierza i Puław.

Jest jedenasty dzień czerwca. Zbliża się godzina osiemnasta.

Ostry gwizd przeszył powietrze i zaświ drował w sercach radosną niecierpliwością. Wzleciały w górę wszystkie czapki, załopotwały chusteczki od nosa.

My na pokładzie „wiuwamy“ czym się da, a tam na brzegu — nasze mamy zbite w gromadkę. Mama Marka woła ile sił:

— Maruś, uważaj, żebyś nie dostał ka taru!

Mamy trochę się cieszyć, a trochę niepo ko, jak kury, które wywiodły kacząta nad wodę.

Ale my za to jesteśmy pewni swego! Już nas wycieczka nie minie! Jedziemy na podbój świata!

Jeszcze jeden przenikliwy gwizd i brzeg razem z mamami, mostem Kierbedzla i Powiśle, ten dobrze znany brzeg, zaczy na zabiegać w tył. usuwa się, cofa, a na jego miejsce napływają, narastają coraz nowe kształty, nowe formy brzegu, niezna ny świat, który czeka spokojnie uśmiech nięty w słońcu, na nasze chciwe oczy.

Minęło pierwsze zachłyśnięcie się po dróżą. Teraz nowe, ważne i niecierpiące zwłoki zagadnienie: co kto ma w plecaku? A właściwie, ściślej mówiąc, co „jadalne go“ kryje się w plecakach!

Na oko najokazalej prezentuje się plecak małego grubaska Marka.

Plecak ten jest tak obiecująco zaokrą

glony, że aż paski trzeszczą!

Zresztą Marek ma ustaloną opinię jako „śniadaniarz“ pierwszej klasy. My, je go koledzy, coś o tym wiemy!

Teraz wszyscy z zajęciem obmacują plecak Marka, bo wiadomo przecież, że się z nami podzieli, jak zawsze!

Na przeglądach i raportach czas mija szybko. Fala toczy się pod nami szara i jednostajna, brzegi za to zmieniają się nieustannie jak taśma filmowa.

Nadszedł czas posiłku. Można wreszcie ujawnić zawartość plecaków. W jednej chwili wyskoczyły na światło dzienne bułki, ciastka, ogórki kwaszone... Nadzieje pokładane w plecaku Marka nie zawiodły: wyłoniły się z jego czeluści (plecaka, nie Marka) pudełko szprotek i cała marynowana szynka.

— Słuchaj, Marek, będziesz miał katarek, jeżeli będziesz to wszystko dźwigał. Słyszałeś, jak mama wołała, żebyś na sie bie uważał. My nie możemy dopuścić, że byś się obarczał takim ciężarem, musimy ci ulżyć — tłumaczy poważnie Grzesiek zjadając solidną porcję szynki z Marko wego pudełka.

Wszyscy się śmieją, a Marek najgło śniej.

Zajadamy bez opamiętania, bo przecież jutro będziemy w Kazimierzu. W to nikt nie wątpli.

Wreszcie rozkaz: na spoczynek. A przedtem pan nauczyciel wyznaczył sil nych chłopców na wartę, która zmieniać się miała co pół godziny.

Wartownik stał na schodach, przy drzwiach kajuty. Chłopcy pod różnymi po zorami chcieli się przekradać na pokład ale wartownicy nie puszczali.

Wreszcie wszystko przycichło.

Słychać tylko oddechy śpiących i plusk

fali bijącej o boki statku. Wtem ostry krzyk... Zabłyły latarki elektryczne.

— Co się dzieje?!...

Marek zerwał się ze swego posania i krzyczy jak opętany:

— Kloś mnie oblał wodą! Jestem cały mokry!

Sprawa wyjaśniła się zaraz. Antkowi było duszne, otworzył okno i fala chlusnęła prosto na śpiącego Marka.

— Niech ci się zdaje, że to dyngus! -- woła Stasiak.

— Ten ci ma pecha — mówił Grzesiek — katarek murowany! Masz tu moją koszulę, bo się zaziębisz.

I zwinęta w kłębek koszula pada na Markowe posłanie.

— Marek będzie miał katarek! — ry czy Wicek.

A tu już gwałt na całym statku.

Pasażerowie, pobudzeni krzykami, po wytykali z kajut rozczochrane głowy zapo wiadając stanowczo, że oni z „taką wycie czką“ nie myślą nadal podróżować.

Ale ponieważ o wiele łatwiej o tym zapewnić niż to wykonać, więc wszystko powoli znowu przycicha, a poczciwa fala wiślana niesie nas i kołysze, nieświadoma zamieszania, jakie sprawiła.

Wreszcie świta.

Grzesiek otworzył jedno oko i trącił Stuśka:

— Wstawaj, śpiochu, zobaczymy świt!

Obudziło się kilku chłopców, zrywają się.

— Co to?!... Statek stoi nieruchomo?!.. Co się stało?!

W mgnieniu oka jesteśmy wszyscy na pokładzie.

Wita nas niespodzianka: statek stoi na mieliźnie.

Sami nie wiemy jak się do tego nsto-sunkować. Trochę nas gnębi przerwa w podróży, ale z drugiej strony — przecież to przygoda! Co warta podróż bez przy-gód?...

W oparach dżdżystego poranku zaryso wują się na brzegu kontury wsi.

— To Ryczowół — mówi pan nauczyciel.

I nasz statek, widocznie na cześć tej pięknej nazwy, też ryczy jak wół, parska, prycha, ale to nic nie pomaga:

— Kapitan wydaje rozkaz:

— Wszyscy oprócz załogi statku na ląd!

Marynarze przierzucili długą i chwiejną kładkę.

Trzeba było dobrze nadrabiać miną, żeby nikt nie zauważył duszy siedzącej na ramieniu Ale Marek nie wytrzymał, zbladł i zawołał:

— Mnie się „głowa kręci“, ja nie pójdę!

I został — cóż było robić? A my pową drowaliśmy brzegiem lgnąc w rozmokłej ziemi.

Śnieżyczki

*Czy widziałeś śnieżyczki?
już sprzedają je w miedzi.
To siołków siostrzyczki —
kupcie, w dom je zanieście.*

*Ty włośenki paziku, ...
ty najmilszy dziś gościu —
narwę ciebie bez liku,
mamie wręczę z radością.*

Stary dziadzio

Idzie drogą stary dziadzio,
 Idzie drogą i narzeka...
 „Poco tutaj mi zawadzasz?”
 Mały piesek głośno szczeka.
 Biedny dziadzio ledwo idzie,
 Lżą mu zaszczyły stare oczy,
 Prawie tego już nie widzi,
 Że po wodzie stale broczy.
 Stanął dziadzio tu przed domem,
 Słabym głosem pieśń zaśpiewał,
 Może się spodoba komu?
 Może ktoś się będzie gniewał.
 I zaśpiewał piosnkę smutną,
 Potem pójdzie znowu dalej,
 Taka już jest jego dola,
 To nic, że się ludzie śmiali.



Namiętny rybolówca.



— Dlaczego płaczesz, Mały?
 — Bo mama mówiła, że wolno mi prze-
 chodzić jezdnię, gdy już wszystkie samo-
 chody przejechały a teraz nie widzę żad-
 nego samochodu!



Hało, panie, czy tutaj biegun południowy?
 Niezupełnie, ale prawie to samo — biegun
 północny!